

Panna młoda znad Bałtyku

„Good day, mate”. Tak po australijsku brzmi „dzień dobry”. Nazywam się Klaudia Gabowska. Mieszkam teraz w Australii ale pochodzę z Krakowa, z Polski. Jak znalazłam się po drugiej stronie świata? Pozwólcie opowiedzieć mi moją historię.

Urodziłam się w Nowym Targu, ale przenieśliśmy się do Krakowa gdy miałam osiemnaście lat, aby rozpocząć pracę w dużej firmie – kancelarii prawnej jako sekretarka. Na początku chciałam studiować na uniwersytecie, ale rodzice nie byli wystarczająco zamożni aby wysłać mnie na uczelnię.



Pamiętam naszą przeprowadzkę do Krakowa. Byłam pełna entuzjazmu, nadziei na nową karierę i na spotkanie kogoś wyjątkowego w tym dużym mieście. Praca była w porządku, trochę nudna, ale przynajmniej mogłam płacić rachunki. Wokół byli przystojni prawnicy i czasami ktoś zaprosił mnie na randkę.

Należałam także do kilku klubów, spotykałam różnych panów, ale nie spotkałam tego wymarzonego... Czas leciał szybko i ani się obejrzałam, gdy stuknęła mi trzydziestka, a ja byłam stale sama i wciąż w tej samej pracy. Nie awansowałam, bo zawsze byli lepsi, bo mieli zakończone studia. bo... Uczyłam się wprawdzie języków angielskiego i niemieckiego w szkole wieczorowej, ale moje umiejętności pozostawiały wiele do życzenia.

Któregoś dnia spotkałam koleżankę ze szkoły średniej – Agnieszkę. Wybrałyśmy się obie na kawę. Ona była już architektem, miała dobrą pensję i była zawsze elegancko ubrana. Lubiłam się z nią spotykać, bo zawsze umiała słuchać, gdy opowiadałam jej o swoich kłopotach. Postanowiłam jednak tym razem nie narzekać i zapytałam co robi w długi weekend.

– Lecimy z Romanem do Paryża – powiedziała. Poczułam głęboki smutek. –

Jesteś szczęśliwa mając męża oraz możecie pozwolić sobie na podróże – jęknęłam. – Ja jestem bardzo samotna podczas weekendów. Nigdy też nie byłam za granicą.



– Klaudia, powinnaś coś zrobić ze swoim życiem! Nie powinnaś siedzieć samotnie w Krakowie, mimo że kochasz to miasto. Wiesz, w zeszłym tygodniu widziałam ogłoszenie matrymonialne w magazynie. Agencja szuka żon dla Australijczyków. Zdaje mi się, że nazywa się: Ocean Brides, czy coś takiego. Nie czekaj,

teraz pamiętam: Baltic Brides. Mają agencje w Gdańsku, Sztokholmie, w Helsinkach.

Byłam trochę zażenowana tym, że Agnieszka sugeruje mi agencję matrymonialną. Przecież agencje są dla desperatów, samotnych, beznadziejnych! – powiedziałam. – No i Australia jest na drugim końcu świata. Agnieszka przerwała mi: – Ale przecież nie znalazłaś swego szczęścia tutaj, nieprawdaż? Może warto spróbować? Zmieniłam temat rozmowy, a potem zupełnie zapomniałam o naszej dyskusji. Ale miesiąc później siedząc w poczekalni lekarskiej (małe przeziębienie) natknęłam się na magazyn, w którym zauważyłam ogłoszenie, czarno na białym: Baltic Brides. – To ogłoszenie prześladuje mnie, cicho westchnęłam do siebie. Może rzeczywiście powinnam się z nimi skontaktować?

Zdobyłam się na odwagę i wysłałam email go agenta w Gdańsku. Już następnego dnia dostałam odpowiedź: dziesięciu panów, dziesięć fotografii i krótki opis ich oczekiwań od przyszłej partnerki. Żaden nie spodobał mi się.

Ogłoszenia zawierało także numer kontaktowy agentki w Gdańsku. Postanowiłam zadzwonić. Odebrała pani Ewa, miała miły głos. Przyznałam jej się, że trudno mi wybrać kogokolwiek.. – Może Andrew? – zaproponowała Ewa. – Ma 35 lat, ma stałe zatrudnienie...

– No, może... Ale jest jeden szkopuł, słyszałam, że agencje pobierają wysokie opłaty, a ja nie zarabiam wiele... Ewa roześmiała się. – Proszę się nie martwić, to panowie pokrywają wszystkie koszty.

Ewa jeszcze długo namawiała mnie, abym spróbowała i w ostateczności dostałam

adres i email pana Andrew. Okazało się, że mój wybranek pracuje na wielkiej „cattle station” w Północnej Australii. Jest farmerem. Andrew był zainteresowany moją skromną osobą, szczególnie gdy wysłałam moją fotografię i w ciągu dwóch tygodni korespondencji poprosił, abym go odwiedziła. – Pokryję wszystkie wydatki – zapewnił.



Muszę przyznać, że długo byłam w szoku, wszystko działo się tak szybko. Moje marzenie zaczęło się spełniać, ale przybrało zbyt szybkie tempo. Wszystko wydawało mi się nierealne, cała sytuacja niepewna. Ja dziewczyna z Krakowa, która nigdy nie była za granicą, ma wyjechać do dalekiej Australii?! Przypomniały mi się jednak słowa

Agnieszki: – Chcesz czekać i czekać i wreszcie być odstawioną na półkę?

Ewa z Gdańska często dzwoniła, zachęcając mnie do wyjazdu: – Nic nie tracisz – przekonywała, najwyżej zobaczysz Australię.

Były też ciągle emaile od Andrew, który prawie błagał, abym przyjechała. Mój angielski wprawdzie nie był najlepszy, ale ze słownikiem dawałam sobie radę, więc mogliśmy korespondować.

Nagle zobaczyłam siebie załatwiającą paszport, potem lotnisko w Krakowie, Balice, zmiana samolotu w Helsinkach, potem Bangkok, Sydney i wreszcie Darwin.

Czy to rzeczywiście ja, czy ja może śnię?

Niestety, Andrew nie mógł przyjechać do Darwin, bo kierownik na farmie przydzielił mu pilną pracę – odprowadzenie krów na obszar, gdzie było więcej pożywienia, a on nie przyznał się bossowi, że zamówił narzeczoną z innego kraju tzw -mail order bride. Zorganizował jednak mój przejazd autobusem do Tennant Creek, najbliższa miejscowość do „cattle station” – farmy gdzie pracował, nazwanej Sandy Downs.

Cdn.

Bill Bloomfield

Tłumaczyła: **Grażyna Milewska**